

Wacław Barcikowski

Eugeniusz Śmiarowski

Palestra 17/2(182), 43-48

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

i wymiaru sprawiedliwości leży, aby wystąpienia te nacechowane były godnością oraz aby kierowała nimi istotna potrzeba.

Redakcja „Palestry” pilnie wsłuchując się w głosy czytelników, rozważy zapewne wszelkie wypowiedzi i projekty przedstawione na spotkaniu, a następnie dołoży ze swej strony należytych starań, aby zgłoszone dezyderaty czytelników jak najszybciej wprowadzić w czyn, aby czasopismo adwokackie „Palestra” stało się codziennym towarzyszem każdego z nas.

WACŁAW BARCIKOWSKI

Eugeniusz Śmiarowski

Trudno dziś sięgnąć pamięcią o parę dziesiątków lat wstecz i pozbiierać wątki przeżyć z tego odległego okresu, zwłaszcza gdy potworne wojny zniszczyły doszczętnie niejednemu z nas całe archiwum. Siedzę oto przy biurku i na fotelu Śmiarowskiego, odziedziczonych przezeń po Stanisławie Patku, i tonę we wspomnieniach o tym wszechstronnym umyśle i czarującej postaci tak wcześnie zgasłego wielkiego obrońcy pokrzywdzonych, jednego z niewielu, może, który nie miał wrogów.

Przypominam sobie, jak kiedyś idąc z Wacławem Szumańskim spotkaliśmy na ulicy w rejonie sądów Eugeniusza Śmiarowskiego. Było to, zdaje się, w toku lub po procesie brzeskim, który niedawno odbył się w ówczesnym Sądzie Okręgowym. Zapytaliśmy go o zdrowie. Czuł się bowiem źle, jak mówił mi o tym jeden z lekarzy, pod którego opieką pozostawał i który towarzyszył mu na procesie, aby w razie potrzeby przyjść mu z pomocą. Szedł wolnym krokiem, blady, z pochyloną nieco głową.

— Ach, dobrze — rzekł, zwracając się do mnie — że Was spotkałem. Chciałem zapytać, czy zgodzilibyście się objąć po mnie stanowisko w Lidze Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Będzie Zjazd, chciałbym wystawić waszą kandydaturę do prezydium.

Zgodziłem się natychmiast. Byłem szeregowym członkiem Ligi.

— Nie oczekiwałem takiego awansu — rzekłem — ale są przecież inni kandydaci, bardziej zasługujący na takie wyróżnienie.

— To moja sprawa — powiedział. — Was już znają.

Potwierdził to Szumański, z którym byłem zaprzyjaźniony. Tak wszedłem niespodzianie do prezydium Ligi.

Państwo nasze, sklecone z trzech zaborów a rządzone przez ludzi z ukształtowanymi nawykami jednego zaboru nie znającymi ucisku narodowego ani krwawych walk toczonych z zaborcą, bez wiedzy organizacyjnej, bez doświadczenia, stawało się pastwą indywidualnej dowol-

ności i nacisku władzy wykonawczej, sprzecznego z kanonami konstytucji.

Nie były wolne od takiego nacisku ani władza ustawodawcza, ani sądowa. Nie była też wolna od tego i obrona, która domagała się postępowania zgodnego z ustalonymi podstawami rządzenia i praw obywatelskich, a zwłaszcza ta część palestry radykalnej, która walczyła o powyższe dobra w okresie rewolucji 1905 r. i w okresie późniejszym. W jej gronie byli Stanisław Patek, Eugeniusz Śmiarowski, Leon Berenson, Wacław Szumański, Kazimierz Sterling i inni. Z tego wspaniałego grona zasłużonych obrońców na pierwsze chyba miejsce wybił się najznakomitszy z nich — Eugeniusz Śmiarowski.

Urodził się 8 maja 1878 r. w Łomży. Syn pisarza hipotecznego, wielkiego miłośnika muzyki o zdolnościach kompozytorskich. Zamiłowania muzyczne ojciec przekazał swemu jedynakowi. Po uzyskaniu matury Eugeniusz Śmiarowski wstąpił na Uniwersytet w Warszawie, gdzie na drugim roku prawa został aresztowany, osadzony w X pawilonie Cytadeli, a następnie wydalony z granic Królestwa. Studia prawnicze ukończył w Kazaniu, a filozoficzne w Heidelbergu.

W latach 1917—1920 był współorganizatorem polskiego sądownictwa, piastując stanowisko początkowo dyrektora departamentu Ministerstwa Sprawiedliwości, a następnie wiceministra sprawiedliwości. Po powrocie w 1922 roku do zawodu adwokackiego, jako wybitny mówca sądowy stawał w wielu głośnych procesach politycznych, a m.in. w procesie Hromady w 1928 r. oraz w procesie brzeskim w 1931 roku.

Rozbrajająca bezpośredniość i szczerść jego przemówień sądowych czy wygłaszanych z innych okazji miała w sobie coś urzekającego, kierującego słuchaczy na tory koncepcji myślowych mówcy, wzbudzając w nich wiarę, że jedynie to, co powiedział, jest słuszne i logiczne. Był godnym następcą słynnego adwokata Adolfa Peplowskiego, który swym wejściem na salę sądową mobilizował carskich sędziów do poprawiania urzędowych surdutów, a jednego z nich w Piotrkowie do załkania sobie uszu podczas rozprawy, „aby go nie przekonał”.

Nie znaczy to, oczywiście, że utalentowana obrona zawsze decyduje o wyroku sądowym. Decydują o nim przepisy prawa, nastawienie psychiczne sędziego, wpływy sfer rządzących, charakter ustroju itd., ale wprowadzenie do niej poza interpretacją prawną wyczerpujących czynników analitycznych i emocjonalnych może spowodować pewne zmiany w nastawieniu i wyrokowaniu sędziego.

Byli jednak, wprawdzie nieliczni, sędziowie w sprawach politycznych, jak np. sędzia Leszczyński w procesie brzeskim, którzy w słowach szczerych, przepojonych głęboką wiarą w szlachetną, porewolucyjną przyszłość człowieka, wiarą w zniesienie ucisku, wyzwisku i poniżenia widzieli zbliżającą się rzeczywistość i głoszoną przez mówcę proroczą prawdę. Zadrzała im nieraz ręka przy podpisywaniu nakazanego przez prawo lub przez władzę wykonawczą wyroku skazującego, gdy już nie było czym obalić policyjnych dowodów usprawiedliwiających skazanie.

Nie będę powtarzał historii międzywojennej rzeczywistości, ale orientował się w niej dobrze każdy obrońca polityczny, który przemierzając wzdłuż i wszerz cały kraj, występując w różnych sądach i w różnych merytorycznie sprawach, gdzie odbijały się jak w wielopłaszczyznowym

zwierciadło skutki polityki państwowej i gospodarki, sytuacja społeczna mas pracujących i ich czynne, krwawe nieraz protesty, był chyba wszechstronnie poinformowany o tym, co się dzieje w kraju, a czego prasa lewicowa świecąca białymi plamami konfiskat nie była zdolna przekazać czytelnikom. Zresztą pisma takie jak „Oblicze dnia” czy „Dziennik popularny”, nazbyt szczere i niepoprawne w swej rzetelności w podawaniu prawdy, miały bardzo krótki żywot.

Skargi i żale upośledzonej części społeczeństwa, wynurzenia więźniów politycznych i ich rodzin, sam wreszcie przebieg procesów pozwalały obrońcy sięgnąć głębiej do rzeczywistości międzywojennej, do ukrywanych przez czynniki oficjalne tajemnic, do krwawych metod pacyfikacji po wsiach i ujarzmiania mniejszości ukraińskiej i białoruskiej, do odbierania im szkół z rodzimym językiem wykładowym, do przesładowań, szykan, gwałtów, wysiedleń itd. Obrońcy wiedzieli również, co się działo przy wstępnych przesłuchaniach i w więzieniach, zwłaszcza po odebraniu więźniom politycznym przysługujących im nawet w carskiej Rosji uprawnień.

Najboleśniejsze było to, że sądy nie dopuszczały do ujawniania tych potworności, że zamykały świadkom i obrońcom usta, że nie stały na usługach prawa, lecz na usługach administracji, policji i ich zwierzchników. Niewielu obrońców mogło przebrnąć przez te przeszkody, aby wydobyc prawdę na światło dzienne.

Po mistrzowsku czynił to Eugeniusz Śmiarowski, cieszący się w sądownictwie dużym autorytetem. Udawało mu się nieraz skłonić sędziów do wyczerpania materiału dowodowego, tak często odrzucanego przez sąd przy wnioskach innych obrońców, udawało mu się obalić dowody oskarżenia narzucone przez administrację i policję, a także spowodować wprowadzenie do protokołu nieprawidłowości postępowania sądowego itp. Wszystko to w formie wysoce kurtuazyjnej, nie obniżającej powagi sądu, świadczącej raczej o głębokim przekonaniu słuszności stanowiska obrony.

Świetna znajomość nie tylko rodzimych praw materialnego i procedury, wyjątkowa pamięć i znajomość orzecznictwa swego i innych krajów, zwłaszcza rosyjskich orzeczeń Senatu na tle kodeksu karnego z 1903 r., często ułatwiały mu skuteczność obrony.

Śmiarowski prowadził nie tylko sprawy polityczne, ale wszystkie te sprawy, w których po głębszym ich zbadaniu doszedł do przekonania o niesłuszności oskarżenia, o krzywdzie, jaka dotknęła zwracającego się do niego po obronę człowieka. Był daleki od podejmowania się jej tam, gdzie nieprawość świadczyła o złej woli, gdzie wymagała od obrońcy wybiegów graniczących z jego nieuczciwością.

Sędziowie zagrożeni przez administrację, która mogła ich w każdej chwili pozbawić stanowiska wbrew konstytucyjnym przepisom, nie zdając sobie nieraz sprawy ze swoich nastrojów i ich wpływów na wyrokowanie, gwałcili zasady wymiaru sprawiedliwości przez zaciskanie obreczy podchwytliwymi pytaniami skierowanymi do świadków i doborem tych ostatnich oraz interpretacją faktów i zeznań na niekorzyść oskarżonych, a także przez ograniczanie ich odpowiedzi itd., co w procesach politycznych zdarzało się dość często. Najwiarygodniejszymi przecież świadkami w tych procesach byli policjanci i wywiadowcy, którzy broniąc z kolei

swych zawodowych interesów, służyli „pomocą wymiarowi sprawiedliwości” swoim nastawieniem psychicznym do oskarżonych.

Dlatego świadkowie ci stali na pierwszym miejscu przy ocenie wiarygodności dowodów wyprzedzając, jak to było np. w procesach łuckim, brzeskim, w Łodzi i w innych sądach, świadków o największych nawet moralnych i społecznych autorytetach. Obrona zaś, domagająca się wpisanego do protokołu pytań i uwag przewodniczącego lub sędziów, była karana wysokimi grzywnami.

Toteż procesy polityczne przy pozornym braku dowodów stawały się dla obrony jednymi z najtrudniejszych, miała ona bowiem do przełamania nie tylko zarzuty oskarżyciela publicznego, ale także powzięte z góry zagrożenie i nastawienie sędziego, zwłaszcza należącego do przeciwnego obozu, oraz zmianę jego stosunku do oskarżonych, zneutralizowanie uczuć wrogości do nich, dojrzenie w nich obywateli własnego państwa odczuwających krzywdę bronionej przez siebie klasy.

Eugeniusz Śmiarowski znał te bolączki sądowe, umiał ustosunkować się do nich bez otwartej krytyki, umiał je zniwelować, podnieść godność człowieka i jego rolę ponad dotkliwą, nieraz bolesną prywatę. Czynił to bez patosu, językiem pięknym, prostym, przenikającym do umysłu i serca, podnosząc ocenę społeczną ludzkiego postępowania i bądź spychającym ją na dno osądu, bądź też podnoszącym na wyżyny chwały i uwielbienia, Wywoływał nastrój, w którym między nim a sędziami zanikała próżnia, a powstawało współbrzmiające powiązanie sądu i obrony. Nie uszedł jego uwagi żaden szczegół, który by nie wyrastał podczas przemówienia do roli mocnego ciosu godzącego w argumenty oskarżenia.

Pogoda ducha, rozbrajający uśmiech, dowcip w sprawach, jakie wypadło mu prowadzić, nie zdradzały gniewu ani oburzenia na stanowisko przeciwnika, którego usiłował przekonać przed sądem. Otaczany młodzieżą wypełniającą podczas jego przemówień obrończych salę sądową, zarzucany często pytaniami jako doskonały znawca prawa i życia, jako erudyta w wielu dziedzinach wiedzy i sztuki, wielbiciel muzyki, człowiek o wybitnej inteligencji — był postacią niezwykle atrakcyjną dla wchodzących w życie zawodowe umysłów.

Jego mieszkanie, ostatnio przy ulicy Długiej, odwiedzało wielu adwokatów. Bywał tu zaprzyjaźniony ze Śmiarowskim Stanisław Patek, słynny współzałożyciel Koła Obrońców Politycznych z czasów carskich i jeden z najczynniejszych obrońców z tego Koła, a potem w odrodzonej Polsce ambasador w Japonii, znany kolekcjoner antyków. Bywał Leon Berenson, świetny obrońca, jeden chyba z najdowodowniejszych wśród palestry, którego polemika z oskarżycielami miewała przebieg wprost anegdotalny. Potrafił w zdumiewający sposób wyciągnąć ze świadków „zapomnianą” prawdę lub ujawnić ich kłamstwa. Niepowszednia dobroć, szczerłość, prawość były dominującymi cechami jego charakteru. Miał duży autorytet wśród palestry i swoich podopiecznych, a nawet wśród rasowych wrogów.

Do grupy dość częstych bywalców należał także Kazimierz Sterling, wybitny prawnik, szanowany w kołach sądowych i adwokackich. Najczęściej można go było spotkać na Świętokrzyskiej wśród bibliofilów uganających się za białymi krukami. Bliski towarzysz Patka i Śmiarowskie-

go w Kole Obrońców Politycznych, pisarz, historyk, poeta, a poza tym namiętny zbieracz fajek. Bywał tam i Wacław Szumański, powszechnie lubiany obrońca polityczny, świetny mówca o aksamitnym barytonie. W procesie brzeskim wygłosił najdłuższe przemówienie, które trwało z górą osiem godzin. Jego *hobby* stanowiły koncerty na zebraniach towarzyskich, które uświetniał artystycznym gwizdaniem. Szumański w latach późniejszych cierpiał niestety na chorobę maniakalno-depresyjną, która w okresie depresji obezwładniała go, w maniakalnym zaś okresie potęgowała jego temperament. W takim właśnie stanie, po wypuszczeniu go z Oświęcimia, na skutek swego zachowania się zdradzającego tajemnice obozu, został tam wywieziony ponownie i zginął.

Trudno byłoby zliczyć wszystkich odwiedzających dom Śmiarowskiego przyjaciół nie tylko z palestry, ale i z innych dziedzin wiedzy i sztuki, literatury, filozofii i muzyki.

Upływa właśnie 40 lat, jak nad grobem Eugeniusza Śmiarowskiego zabrzmiały pożegnalne głosy reprezentujące cały świat prawniczy, całą adwokatwę polską, bolejące nad utratą tego największego w naszym pokoleniu adwokata, wysoce utalentowanego czynnego rzecznika wymiaru sprawiedliwości i gorliwego humanistę — obrońcę praw człowieka i obywatela.

Adwokat Jan Dąbrowski mówił o nim jako o „jednej z najpiękniejszych postaci powojennego pokolenia”, o jego bogatym umyśle, o wysokiej kulturze ducha i serca, o genialnym darze logicznego myślenia i przekonywania, o świetnej a nie sztucznej, z serca i z głębi przekonań płynącej wymowie, która się wydawała podobną muzyce.

Wspominając o Eugeniuszu Śmiarowskim i jego linii życia, Wacław Szumański mówił, iż był on „jednym z najwybitniejszych i najwytworniejszych polskich mówców”, a Kazimierz Sterling — że „było to nie tylko nazwisko, lecz symbol szlachetności uczuć, wielkiej prawości, niezachwianej mocy zasad etycznych i przekonań politycznych”.

Stanisław Thugutt wspominał o nim jako o demokracie. „Nie z partyjnej nomenklatury, nie dla kariery i nie z przypadku — powiedział — ale dlatego, że taka była najgłębsza istota jego ducha, takie było jego życie od lat dwudziestych aż do chwili zgonu. Jako prawnik, jako obywatel uznawał potrzebę autorytetu, wyższości interesu ogólnego nad interesem jednostki, wypływającą stąd niekiedy nieuchronnie potrzebę kary. Nie znosił natomiast organicznie wszelkiego ucisku, krępowania rozwoju człowieka, a przede wszystkim rzucania go na pastwę rzekomym interesom państwa, pod którymi ukrywają się niezdarnie interesy panującej klasy czy kliki.” „Nie było — mówił dalej Thugutt — wypadku, żeby odmówił pomocy komuś, kto wszedł w konflikt z prawem z pobudek ideowych. Nigdy nie zdarzyło się, aby zastał drzwi zamknięte ten, kto nie miał czym opłacić jednego z najznakomitszych adwokatów w Polsce.”

Śmiarowski, ten wyjątkowej miary obrońca, nie był może jedynym wśród obrońców ciężko przeżywających swoją bezradność w sytuacji, o której wspomina adwokat Leon Berenson w broszurze „Ku czci Eugeniusza Śmiarowskiego”. Nie wchodziły tu przecież w grę ani interes osobisty, ani ambicja obrończa, lecz czysty, szczerzy stosunek do ludzkiej rzeczywistości, do gwałtu potwornego reżymu nad uciemionym naro-

dem i bezsilność bohaterskiej samoobrony, w której padają najszlachetniejsze ofiary.

Śmiarowski w gronie przyjaciół często powracał do tego tematu. Zadawał sobie i innym pytanie, czy chodzi tylko o carski wymiar sprawiedliwości. Czy tylko tamci, ubrani w wojskowe i cywilne mundury, prawodawcy i sędziowie, patrząc — na bieżąco — na rozwój ruchu rewolucyjnego, byli aż tak zaślepieni, że nie dostrzegali, zwłaszcza po 1905 r., najbliższej przyszłości wobec wydarzeń obronnych robotnika i chłopca, ku czemu zmierza walka? Czy nie widzieli rzucającej się w oczy nędzy wsi i miast, rosnącego bezrobocia i ubożenia ludu przy olbrzymich zgarnianych zyskach z rodzimego i zagranicznego kapitału, zdobywanych nieograniczonym wysiłkiem pracy milionowej biedoty?

Herman Lieberman wspomina, jak czytał On w duszach ludzkich i jak głos jego w sali sądowej dźwięczał tak czysto i przejmująco, że zarówno publiczność jak i sędziowie, oczarowani i porwani, słuchali z zapartym tchem, jak gdyby sam odwieczny geniusz, krzywdą i okrucieństwem możliwych torturowanej ludzkości, przed nimi stanął, do ich sumień o sprawiedliwość wołał.

Naiwne, godne infantylnego umysłu zarzuty w okresie międzywojennym o „przekupywanie” biedoty, aby wywołać rewolucję w Polsce, którą rewolucjonizowała niedola w całym świecie kapitalistycznym, owo przysłowiowe dzielenie zapalki na części, odżywianie się razowym chlebem i kaszą bez okrasy, chodzenie w podartych łachmanach i boso, uderzającą wysoką śmiertelność chłopskich i robotniczych dzieci, analfabetyzm i ciemności egipskie po wsiach z nastaniem mroku wobec niemożności nabycia ropy — to wszystko nie docierało do „światłych” umysłów elity rządzącej i jej aparatu przymusu.

Nie są to autentyczne słowa Śmiarowskiego, ale jego myśli wypowiedziane niejednokrotnie zarówno na forum sądowym jak i w Lidze Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Śmiarowski oraz inni prawnicy twierdzili nieraz, że kodeks karny nie może być jedynym źródłem wiedzy prawniczej, że musi być poparty gruntowną znajomością warunków społecznych wszystkich warstw narodu, a sprawiedliwość nie może być kierowana i uzależniona od zmieniających się jednostek — dyrygentów nawy państwowej. Nie nowa to koncepcja, z której zdawali sobie sprawę obrońcy, zwłaszcza polityczni. Nie wiele jednak krajów wciela ją w życie. Nie odpowiadała mu rola administratora na fotelu wiceministra, porzucił ją, aby kontynuować zawód obrońcy, aby nieść pomoc słabym wobec potęgi państwa.

„Akt sprawiedliwości — jak powiedział w procesie posłów ukraińskich — to najsilniejsze ogniwo tego łańcucha, który wiąże i skruwa. Krzywda wykopuje przepaść, łaska rozgorycza i oddala, sprawiedliwość rozbraja i jedna.”